№ 57. Wtorek, dnia 2 Listopada 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

DRZEWORYT WARSZAWSKA.

WARSZAWA d. 21 Października (2 Listopada) 1875 roku.	„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek. CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38. „ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; — „ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.	REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350 (nowy 11).

Z „Listków jesiennych"

WIKTORA HUGO.

Czasami, gdy śpi wszystko, ja siadam z rozkoszą,
A gwiazdy, tam nademną, po niebie się noszą,—
I czekam czy dźwięk jaki nie spadnie tam z góry,
I bieg czasu nademną niema żadnej mocy,
Gdy patrzę na tę wieczną biesiadę natury,
Którą niebo pogodne daje światu w nocy.

Nieraz wtedy myślałem, że te słońca z żaru
Mnie tylko grzeją duszą wśród sennego czaru,
I że ja sam pojmuję, niepojęte światu,
Że ja, cień taki marny, lichy i spokojny,
Jestem królem mistycznym nocy majestatu,
I że dla mnie samego sklep nieba tak strojny!...

G. C.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg.— Patrz Numer 56).

Senatorowa zrobiła uwagę:

— Jednakże ciotka, jak uważałam, kochała cię bardzo.

— Nie przeczę, kochała mnie, po swojemu wprawdzie, ale kochała; cóż kiedy to kobieta tak zacofanych wyobrażeń, że jej opieka zwichnęłaby nie tylko życie, całą moją przyszłość ale i zmarnowałaby moje zdolności.

— W tem najzupełniejszą masz słuszność; zamknąć ciebie w jakimś wiejskim zakącie, to było zaprzepaścić te wszystkie dary, któremi cię tak szczodrze natura uposażyła.

— Nieprawdaż stryjeneczko? a ciocia o tem tylko marzyła, ażeby mnie wydać mogła za jakiego porządnego obywatela, hreczkosieja, żeby mnie mogła widzieć staranną gospodynią, troskliwą matką i t. d. i t. d.

— Ah fi! quelle horreur! czyż to właściwe dla kobiety wyższego umysłu, takiej jaką ty jesteś, quelle idée!

— Stryjeneczka przynajmniej bierze te rzeczy prawdziwie rozumnie; takie życie jakiego dla mnie pragnęła ciocia, dobre jest tylko dla kobiet niedołężnych, istot biernych, które potrzebują koniecznie opieki męża, przewodnictwa, jakichś ciasnych ramek, bo w szerszych chwiałyby się nieustannie. Ale ja mam myśl szerszą, silną, chcę i pragnę działać samoistnie, opieki męża nie potrzebuję wcale, i znając dobrze to moje usposobienie, za prawdziwe zbawienie dla siebie uważam, że zdołałam wyrwać się z tej sfery tak dla mnie niewłaściwej.

— Zdaje mi się, że Anna za to najzupełniej dostrojona do wyobrażeń matki.

— O tak, Annę ciocia zupełnie ukształtowała na wzór swego ideału, dla niej Zalesia i tego co w tem Zalesiu być może, aż nadto wystarczy na całe życie, powiedziała uśmiechnąwszy się szyderczo Wanda.

— Ale jednak dobre to być musi dziecko, uważałam nawet żeście z sobą były dość serdeczne.

— O tyle, o ile, odpowiedziała od niechcenia Wanda; dopóki byłyśmy dziećmi, dobrze nam było razem, ale z czasem, im więcej dojrzewać myślą zaczęłyśmy, tem więcej oddalałyśmy się od siebie, a dziś, cała przestrzeń nas dzieli, stanęłyśmy na sprzecznych sobie krańcach wyobrażeń, drogi nasze zupełnie różne, a więc sympatyi tak wielkiej dla siebie mieć nie możemy. Wanda mówiła to wszystko tak zimno, jakby mówiła o jakiejś najpowszedniejszej znajomości, nie zaś o tych z któremi kojarzyły ją węzły tak ścisłe; widocznem było, że jej nawet przez myśl nie przeszło, czem dla niej była rodzina Gasztoldów, jaką miłością otaczali ją sierotę; do tego stopnia w tak krótkiem czasie rozumowanie wysuszyło już w niej serce; nawet senatorowa, jakkolwiek lekkomyślna, uczuła ten chłód, jakim wiały słowa Wandy i przemówiła:

— Jakkolwiekbądź, zawsze to twoja rodzina.

— Rodzina? eh! moja stryjeneczko, po co to się bawić w te piękne frazesa, ludzi z ludźmi wiążą lub ich dzielą wspólne dążenia, jednakie idee, ale nie związki pokrewieństwa lub nawyknienia; te wszystkie mrzonki idealistów, niegodne są ludzi rzeczywiście rozumnych.

Senatorowa nic na to nie powiedziała; czy uznawała słuszność twierdzenia Wandy, czy nie chciała wchodzić w dysputę z synowicą która imponowała jej zawsze wymową i bystrością umysłu, czy też może po prostu kwestya taka obojętną jej była całkiem. Milczały chwilę, senatorowa obrywała suche listki kwiatów zapełniających żardinierki u okien. Wanda wzięła napowrót porzuconą w czasie rozmowy książkę i czytała dalej, po niejakiej chwili senatorowa odezwała się znowu:

— Kiedyż ty myślisz Wandeczko moja rozpocząć swoje lekcye w konserwatoryum muzycznem? należałoby się dowiedzieć jak i kiedy zapisać się na nie potrzeba?

— A wie stryjeneczka, odpowiedziała Wanda odrzucając znowu książkę na bok, że ja najzupełniej zmieniłam projekt, i o lekcyach muzyki nie myślę już wcale.

— Jakto? przecież po to właśnie przyjechałyśmy tutaj.

— To prawda, ale rozmyśliłam się że po cóż mam tracić czas i pracę na muzykę, kiedy mogę spożytkować je na inny daleko pożyteczniejszy przedmiot.

— Nie rozumiem cię zupełnie, mówiła do wysokiego stopnia zdziwiona senatorowa.

— Zaraz się wytłumaczę. Najpierw niech mi stryjenka powie, na co mi się przyda takie wysokie kształcenie się w muzyce?

— Na to ażebyś mogła stanąć wyżej jeszcze w tym świetnym talencie, który ci jedna takie szalone powodzenie, tyle uwielbienia i oklasków.

— Uwielbienie i oklaski pozyskane muzyką nie dadzą mi jeszcze tego czego ja pragnę, nie zaprowadzą mnie tam dokąd dążyć zamyślam, przyczyni się do powodzenia mego w salonach, ale ja na tem poprzestać nie chcę, mnie potrzeba czegoś więcej, czegoś coby mi dało powszechny rozgłos w kraju i po za krajem.

— W kraju i po za krajem! powtórzyła wysoko zainteresowana senatorowa,—o czem że zamyślasz filozofko ty moja? Wanda się uśmiechnęła.

— Myślę wejść na pole literackie i temu się poświęcić.

— Literackie? kobieta? zawołała senatorowa.

— A dla czegóżby nie? alboż to kobiety nie mogą być literatkami, równie dobremi jak mężczyźni? Zdolności mam i pisać mogę, to sama czuję, a profesor P. zapewniał mię również o tem, dla czegóż więc nie mam się oddać piśmiennictwu, i jako autorka zjednać sobie sławę i znaczenie.

— O! ja to wiem że ty masz głowę nie dla kształtu, na zdolności i na rozumie ci nie zbywa, gdy zechcesz staniesz wysoko. Odpowiedziała z głębokiem przeświadczeniem senatorowa,—ale widzisz moja duszko, mogą być inne ku temu przeszkody, naprzykład możesz wyjść za mąż.

— A cóż to przeszkadza, czyż pisać nie mogę będąc mężatką?

— Bardzo naturalnie, gdy wyjdziesz za mąż, dom, dzieci staną ci na zawadzie.

Wanda ruszyła ramionami.

— Eh! to uprzedzenie, a któż mi każe wyjść za mąż tak, ażebym nie miała za co nająć takich co mię wyręczać będą około domu i dzieci, a wreszcie może ja przecie dzieci wcale mieć nie będę.

— Na to ostatnie, moja duszko, rachować na pewno nie możesz, a nawet na własnem opierając się doświadczeniu, nie życzyłabym tobie tego. Czy uwierzysz że sama dziś uczuwam brak własnego dziecka, jakiejś bliższej istoty ludzkiej.

— Ale co znowu! odpowiedziała śmiejąc się Wanda, już ja z pewnością za dziećmi nie zatęsknię, na matkę nie czuję w sobie wcale powołania, stworzona jestem do czegoś ważniejszego, postanowiłam oddać się piśmiennictwu, i na tem polu dobijać się sławy i ogólnego uznania.

(D. c. n.)

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Emir Abdallah samotnie przechadzał się po komnatach Alhambry, płacząc tajemnie nad grożącą mu utratą tronu i téj rozkosznéj siedziby. Okrutny, bo słaby; trwożny, bo się czuł niecierpianym, potokiem niewinnie wylanéj krwi chciał się od nieprzyjaciół przegrodzić. Dochodziły do jego uszów skargi i przekleństwa miasta całego, duchy pomordowanych z każdego zaułka pałacu wyzierać się nań zdawały, lecz on nie siebie ale losy oskarżał. Wtem Mussa stanął przed jego obliczem

— Władzco dzieci Proroka, rzekł on głosem wzruszonym, o czem ty myślisz gdy Grenada w żałobie? Czy wiesz jakie owoce przyniosła twa ślepa zazdrość, twa szalona nienawiść? Najwaleczniejsi obrońcy Islamu opuścili nas dzisiaj, a w próżni która się obok ciebie utworzyła, czyż nie słyszysz nic, oprócz brzęku kajdan, które zwycięzcy dla ciebie gotują? Czy nie wiesz jak się ratuje upadające państwa?

— Wiem tylko, odrzekł emir ponuro, że mnie bunt otacza, bo żyją jeszcze resztki Abenserragów!

— O nich się nie troszcz, przerwał Mussa z ironią, wraz z jutrzenką opuścili co do jednego twe państwo, i chrześcianom się poddali!

— To zdrada!

— Względem kraju, tak, lecz względem ciebie, sprawiedliwość.

— Jakto, czyż moja zemsta nie była uprawnioną? czyż nie odkryłem ci, Musso, ran mego serca, obrazy mego majestatu? Czyż nie wiesz, że Alfaima, którą tak kochałem, przez Ali-Ahmeda uwiedzioną została! Czyż nie wiesz że te Abenserragi przeklęte, dawno już z chrześcianami weszli w związek?

— Gdzież dowody ich winy? zapytał chłodno Mussa.

— Wskaż mi dowody ich niewinności, zawołał emir.

— Nie przyszedłem tu, odparł rycerz, by słuchać twojego usprawiedliwienia się z czynu, któren na zawsze krwawą plamą twoją pamięć zaćmi, lecz żeby cię przestrzedz, iż ostatnia godzina Grenady nadchodzi; zważ więc co masz czynić, abyś nas przynajmniéj od hańby, jeżeli nie od zaguby ochronił.

I z temi słowy Mussa opuścił emira, który wściekłym gniewem napełniony, nie śmiał jednakże wywrzeć swéj zemsty za śmiałe przemówienie, gdyż Mussa był ulubieńcem narodu, który w jego waleczności i cnocie jedyną tarczę od nieprzyjaciela mieć mniemał. Jednak spragnione zemsty i krwi chciwe serce emira, ofiarę jakąś znaleźć musiało. Zwrócił więc swe kroki do części pałacu, przez kobiety jego zamieszkałéj.

VII.

Ta część Alhambry, sama w sobie jakby oddzielny pałac stanowiąca, do dziś dnia wielką świeżość zachowała. Obszerny czworobok, którego środek zajmowało podwórze, pysznemi kwiatami i wieczny chłód utrzymującemi wodotryskami zapełnione, okolony był od wewnątrz cudnéj lekkości kolumnadą, na którą wychodziły drzwi ze stu przeszło komnat, marmurem, alabastrem i porcelaną wyłożonych. Komnaty te, większych i mniejszych rozmiarów, były siedzibą pięknych mieszkanek haremu. Środkowe mieszkanie z kilku pokoi złożone i odznaczające się większym przepychem rzeźb, sztukateryi i malowideł, były zapewne mieszkaniami czterech, wedle ustawy Mahometa, prawnych żon Emira.

Z pomiędzy nich najukochańszą Abdallahowi była dotąd Alfaima; dziś jednakże siedziała ona samotnie płacząc w swéj komnacie. Czuła się niewinną, lecz podejrzenie które na nią padło, myśl sama, że się znalazł ktoś, któren śmiał zrobić jéj za-

U OGNISKA.

V.

Jesień posępna, smutna, bezlistna, dżdżysta, — jak zmora jakaś senna wlecze się od dnia do dnia; zabiła pokrewne sobie lato—a nie chce na śnieżny tron dopuścić królowej zimy — i nudzi i nudzi i udręcza, napełniając serca smutkiem a piersi katarem. Modny świat nie spieszy też jeszcze do Warszawy, udając że poluje na wsi lub zgrywa się w Monte-Carlo, nad szafirową zatoką przecudnego Śródziemnego morza. A wszystkim tak pilno już do mrozów; każdemu zdaje się nieledwie że skoro nastaną, natura nasyci się niemi do woli i nadejdzie wiosna, a dusza i umysł zapomną że są tak ohydne pory roku jak ta, którą mamy obecnie. Znam zaś panienki, którym śnieg, zimno i brzęk dzwonków przy sankach, zdaje się rokować całą seryę wieczorów i balików, które mogą jeszcze przecie poprzedzić adwent, a po jego skończeniu rozhulać się dopiero dobrze i na serio we wspaniałych i wielkich zabawach.

Oj! znamy osoby, młode, piękne i lubiące się bawić, dla których sam wyraz bal, ma w sobie dziwny urok, — które słysząc, że się gdzieś *na bal zanosi*, czują drżenie rozkoszne, przebiegające po ciele ich, od stóp aż do głowy. Bo... bo... dla wesołych a inteligentnych, przyjemność balu nie ogranicza się na samem miarowem poruszaniu nóg po brzmieniach skocznej muzyki. Mieści się ona stokroć więcej może, w tysiącznych drobnostkach, które jakkolwiek błahe z pozoru, posiadają nieopisany czar poezyi sobie właściwej. Wdzięk takowej — pospieszne pióro felietonisty, nie dość wiernie scharakteryzować jest w stanie; —potrzebaby raczej ująć i uwydatnić przymioty jej *mową wiązaną*, w żwawym, wierszowym rytmie, naśladującym posuwiste *tempo* mazura, lub wirowe skręty romantycznego walcowego taktu. — Urok jej zaś sceniczno-dekoracyjny, chyba zręczny pędzel akwarellisty, lekkością swoją pokrewny gazom, *illuzyom* i tarlatanom, mógłby odmalować należycie. Słowem, potrzeba rytmiczności słowa, rytmiczności scenicznej i rytmiczności barw — że aż tak przesadnie wyrazić się musimy, — aby stworzyć chociażby tylko *illuminowaną* fotografję balu. Tańcująca zabawa bowiem, sama przez się, jest już dziełem jakiejś tajemniczej sztuki, gdzie gościnność, *savoir-vivre*, uprzejmość, wdzięk, gust, rozum i właściwe kobiecym umysłom poczucie artystyczne, składają się na małe arcydzieło przyjemności, rozrywki i dobrego smaku. W samej atmosferze balowej, jest jakaś, to przypadkowa, to wybornie z góry obmyślona i wytworzona harmonia dźwięków, świateł, wrażeń, uczuć.

rzut hańby i niewiary, w głęboką rozpacz ją wprawiały. Zerwała się z miejsca na widok wchodzącego Abdallaha, i rzuciła się ku niemu wołając sprawiedliwości przeciw oszczercom.

— Sprawiedliwości? tak, będziesz ją miała. Wspólnika twej winy już ukarałem; Ali-Ahmed nie żyje, teraz kolej na ciebie; lecz żeby mnie Grenada znowu srogim nie nazwała, okażę się wspaniałomyślnym. Ogłosić każę wszędzie, że sprawę twą oddaję pod *Sąd boży*. Za dni trzy zejdziesz na plac sądu; z jednéj strony stanie oskarżyciel twój Mohamed, z dwoma towarzyszami; niechże wystąpią naprzeciw niego trzéj rycerze, którzyby za sławę i cnotę twoją walczyć chcieli. Ich zwycięztwo, przyniesie tobie wolność i oczyszczenie z zarzutu, lecz pokonani, razem z tobą na jednym zginą stosie.

Mniemana wspaniałomyślność małżonka w najgłębszą rozpacz pogrążyła nieszczęsną Alfaimę. Gdzież znaleźć obrońcę, dziś, gdy Abenserragów już niema? któż się zechce mierzyć z groźnym Mohamedem, którego siła i zręczność wszędzie znaną była? Nie pozostawało biednéj, jak oczekiwać strasznéj i hańbiącéj śmierci. W téj ostateczności, jedna z niewolnic Alfaimy, młoda chrześcianka, podała myśl swéj pani, aby się o pomoc udać do rycerzy chrześciańskiego obozu. W istocie, cały kwiat rycerstwa znajdował się wówczas pod murami Grenady. Najwaleczniejsi i najsławniejsi rycerze, nie tylko z całéj Hiszpanii, lecz nawet z odległych krain, zgromadzili się w około Ferdynanda i nieodstępnéj mu we wszystkich wyprawach małżonki, Izabelli Arragońskiéj, by uczestniczyć w ostatecznéj zagładzie potęgi Islamu. Imiona takich bohatetów jak Ponce de Léon, jak Gonzales z Korduby, Anigo de Mendoza, jak Raoul de Beauséant z ziemi Franków robem i tysiące innych, rozsiewały w około postrach i trwogę. Z pomiędzy tych wszystkich jednakże największéj sławy z powodu swych czynów bohaterskich i nieustraszonéj odwagi, używał don Juan de Chacon, wielki mistrz zgromadzenia rycerzy w Calatrava.

Do niego to, szczęśliwie przemknąwszy się w nocy wśród straży maurytańskich, dostała się niewolnica Alfaimy — z listem od tej ostatniej, która w słowach pełnych godności wzywała rycerzy chrześciańskich na obronę swej czci i życia.

(*D. c. n.*)

Piętnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

(Ciąg dalszy.)

Najcudniejsze kwiaty w świetnych kolorach kołysały się tam wśród szmaragdowych kobierców trawy, tysiące różnokolorowego wodnego ptastwa obsiadło krzewy i trzciny lekkim podmuchem wiatru poruszane. Był to obraz tak wdzięczny, że pragnąłem mu się przyjrzeć bliżej i prosiłem p. Stewens aby mi na której z tych wysp wysiąść pozwolił. Rozśmiał się tylko i powiedział mi że to niepodobna, gdyż są to steki błota naniesionego przez wody rzeki, które utworzyły zatory i pokryły się roślinnością. Niebaczny któryby tam nogą stąpił, znalazłby śmierć niechybną w błotnistej topieli. Ganges wpada do morza rozdzielając się na dwadzieścia kilka odnóg, nieraz więc w naszej podróży koło jej ujścia przepływaliśmy, i podobnie jak około wyspy Soyor widzieliśmy burzliwe wody rzeki łączące się z falami oceanu. Zresztą okolica tam smutna, bagnista i nieurodzajna. Nieraz jeszcze spotykaliśmy trupy pływające po wód powierzchni, a w ślad za niemi płynęły czarne, niezgrabne niby kłody drzewa, znikające w głębiach rzeki za najmniejszem poruszeniem ludzi na statku... były to krokodyle. Przepływając około błotnistych wysepek statek otarł się pewną razą o wysoką trzcinę która na niej wyrosła i nagle jeden z tych potworów, zbudzony ze snu w zaroślach, chcąc się rzucić w wodę, spadł na pokład. Szczęściem że trafił natychmiast do brzegu i zsunął się szybko do rzeki, gdyby bowiem napotkał jakąś przeszkodę ku temu, kto wie czybyśmy uniknąć zdołali jakiego nieszczęśliwego wypadku. Od tego czasu pan Stewens przykazał już sternikowi omijać zdala sitowie rosnące na wybrzeżach. Gdy widoki stawały się zbyt jednostajne, schodziliśmy wszyscy do salonu i tam czas upływał nam nader mile wśród ożywionej rozmowy. Państwo Stewens i pp. Jacolliot byli ludźmi najprzyjemniejszego towarzystwa; powziąłem też od nich wiele ciekawych wiadomości o obyczajach i stosunkach miejscowych. Trudno mieć wyobrażenie o nędzy tamecznego ludu. Nędza ta równa się chyba jego ciemnocie. Kobiety uważane bywają powszechnie jako istoty niższe, pomimo to jednakże mężowie wcale się z niemi źle nie obchodzą. Często się zdarza że Indyanin zapytany czemu tego lub owego nie wykonał, odpowiada że: *kobieta* tego nie chciała. Czemuż robić przykrość *kobiecie*? Gdy *kobieta* się smuci, dzieci w domu płaczą. Bogowie nie błogosławią domów w których kobiety są nieszczęśliwe. Te i t. p. zdania kierują zwykle zarówno postępowaniem ludzi ubogich jak bogatych nababów, pomimo że jedni i drudzy wyrażają się z pewnym rodzajem lekceważenia i pogardy o całej płci niewieściej. Po śmierci ojca najstarsi synowie stają się naczelnikami rodziny i matki obowiązane są słuchać ich we wszystkiem, pomimo to wszakże nic oni nie postanowią bez naradzenia się z niemi, i otaczają je zawsze miłością i poszanowaniem. W miejscach publicznych na każdym kroku mężczyzni okazują poszanowanie kobietom i te w ogóle zdają się być niezmiernie zadowolnione z losu jaki im przypadł w udziale. Cała ich wiedza ogranicza się na umiejętności otłukiwania i gotowania ryżu, oraz na kilku innych gospodarczych wiadomościach. Bajaderom jedynie, które tańczą w świątyniach i na placach publicznych, wolno jest uczyć się czytać i pisać. Byłoby zatem wstydem wielkim dla uczciwej kobiety

---

Oko widza, stojącego w ciemnym szeregu *frakowej galeryi*, dostrzega jak w kalejdoskopie, to indywidualności toaletowe, to twarze pełne charakteru, to pary, to gruppy z tanecznych figur złożone; tu słyszy cały dyalog prowadzony w kadrylu; tu dowcip jak wolantem odbity, przy *en avant deux*; tu nieledwie bicie serca pod różowym stanikiem, przy akompaniamencie wesołej polki. Do ucha jego dolatuje nawet szelest odrywającego się od włosów kwiatka i opadającego na śnieżne ramiona, lub staczającego się niedbale po koronkowych falbanach na ślizką posadzkę. I znowu, nagle, zawrót głowy amalgamuje wszystko w jakiś różnowzory chaos barw, odgłosów, dźwięków, plączących się jak obrazki latarni czarnoksiężkiej na jasnem tle balowej sali. Bukiety z płomieni świec żyrandolowych, podmuchem balowym poruszone, migocą i odbijają się tysiącem promieni w dyamentach i drogich kamieniach. Tu ze staników wychylają się gorsy, ramiona, szyje, oblicza — niby kwiaty zamknięte w obsłony liści. Raźny mazur grzmi hołubcami.... Wszystko urocze, urocze, urocze!

Bal, to szkoła życia dla kobiety. Radzimy jednak uczyć się w niej ostrożnie i pod okiem matki!

Dla męzkiej zaś naszej młodzieży, przestał być niestety powtórnym uniwersytetem, tak to było dawniej. Bal nie pociąga już ku sobie naszych *wykrochmalonych paniczów* przeżyłych i znudzonych zawcześnie, chyba że za salą do tańca są pokoje z zielonemi stolikami. Mania bowiem gry wstrząsać zaczęła na nowo sercami i krwią... lwów, lewków i lwiątek światowych. Co smutniejsza jednakże że rozgorączkowała do pewnego stopnia, nawet młodzież pracującą krwawo, na kawałek chleba. Wiemy na pewno że nader często ci nawet, którzy dotąd świecili przykładem i byli wzorem dla innych, spieszą wieczorem zasiąść przy stołach i na parole gięć karty, rzucając marnie grosz tak trudny dziś do zdobycia. Niebrak umysłowych rozrywek, nie chwilowa potrzeba odpoczynku, tylko najbrudniejsza z namiętności gromadzi ich i łączy w koła *djabełkowej* lub *bacaratowej* solidarności. Niepomną niebaczni, że nic bardziej nie suszy serca, nie obezwładnia umysłu, nie denerwuje muskułów jak gra, że nic rychlej nie pozbawia młodości jak namiętność do niej, że nic sromotniej nie rozdziela braci, przyjaciół, znajomych jak talia kart, rzucona między nich, niby kość niezgody. I dla tego też coraz mniej związków serdecznych na tym ślicznym, bożym, a przez ludzi tak znikczemnionym świecie.

A stare cnoty: miłość bliźniego i wzajemna pomoc, warte tyle przynajmniej co no-

wstępować w ich ślady, to też jeżeli się jej zdarzy przypadkiem nabyć podobnej umiejętności, pewno się do tego nieprzyzna.

Ubóstwo indyjskiego ludu wypływa ztąd, że rolnicy czyli *rajoci* są w pewnej zależności od większych właścicieli ziemskich, którzy się z niemi częstokroć nielitościwie obchodzą, wymagając zbyt wygorowanej zapłaty za ziemię którą im uprawiać dozwalają. Opłaty pobierane są w płodach tej ziemi, i tak np. jeżeli litościwy właściciel nie wymaga więcej od swych czynszowników nad połowę ich zbiorów, wtedy nie tylko mogą oni wyżyć wraz z rodziną, ale robią nawet małe oszczędności. Jeżeli wszakże zabiera ich trzy części, czwartą tylko zostawiając, umierają nieraz z głodu. Biedniejszemi jeszcze od rajotów są ich służący *colis*'ami zwani. Wynajmują się oni rocznie do najcięższych robót za 24 rupij, to jest za ośmnaście rubli najwyżej, i z tego wyżyć muszą wraz z rodzicami. To też żony i dzieci ich przez większą część roku włóczą się po lasach i bagnach wyszukując korzeni roślin i łodyg młodych bambusów, które przyprawiają w rozmaity sposób na pożywienie dla siebie. Rodziny zmarłych colis'ów nie mają nigdy za co zakupić dla nich stosu, ciała ich przeto pokryte lekką warstwą ziemi, stają się pastwą szakali. Pomimo to wszystko nigdy na los swój nie narzekają, pocieszając się myślą że dusze ich przechodzić będą w coraz doskonalsze i szczęśliwsze istoty, i że w ten sposób staną się kiedyś właścicielami ziemi, którą teraz uprawiają w pocie czoła.

— I my kiedyś będziemy *mirasdarami* (bogatemi właścicielami) mawiają ze smętnym uśmiechem.

Jeżeli *mirasdarzy* są zacnemi ludźmi, wtedy los biednych colis'ów jest daleko szczęśliwszy, wyprawiają im bowiem wesela, dopomagają w zagospodarowaniu a w końcu zakupują stosy pogrzebowe dla umarłych, co jest już najwyższem miłosierdziem, gdyż Indyanie wierzą mocno, że przyszłe ich życie przez to stanie się szczęśliwsze. Oprócz rajotów, colisów i mirasdarów, pomiędzy którémi znajdują się zarówno europejczycy jak i krajowcy, ludność nad zatoką Bengalską składa się jeszcze z rybaków, którzy większą część życia spędzają na morzu, mając w miejscu łodzi pewien rodzaj tratwy, zwany *katimorarem*, na której bardzo zręcznie pływają i zarzucają sieci. Żony lub starsze dzieci siedząc na przeciwnym końcu tratwy, pomagają zazwyczaj rybakom w kierowaniu nią po burzliwych falach. Ludność wielkich miast w Indyach nie mniej jest ubogą jak ludność wiejska. W miejscu mirasdarów, są tam kupcy roztaczający do koła zbytek o jakim nie mamy wyobrażenia w Europie, aby potem skończyć na fałszywem bankructwie; są też i różnego innego rodzaju spekulanci, których przeszłość jest najczęściej bardzo wątpliwą, wyzyskujący ubogich ludzi. Bramini czyli kapłani indyjscy stanowią oddzielną kastę, wyróżniającą się od wszystkich innych. Są oni niby stróżami świętych tajemnic i służy im prawo za przewinienia popełnione względem bogów skazywania przestępców na rodzaj śmierci cywilnej, wydalając ich z kasty do której należą, i przez to czyniąc ich *pariasami* czyli istotami, z którémi każde zetknięcie jest szkodliwem dla społeczeństwa. Wszelkie przesądy i zabobony, równie jak cześć bałwochwalcza dla wymienionych bogów mają w nich gorliwych orędowników. Rozszerzają też dokoła ciemnotę i nędzę duchową, pomimo że księgi ich święte pełne są zasad moralności, której nie odrzuciłoby żadne wyznanie chrześciańskie. Księgi te bowiem pisali starożytni Indyanie, których wyobrażenia religijne były odmienne od dzisiejszych, mając za główną podstawę jedność bóstwa oraz nagrodę i kary, w stosunku do cnotliwego lub występnego życia.

Z Gangesu wpłynęliśmy już w koryto Brahmaputra, na brzegach której ciągnęły się obszerne posiadłości majora Daly, jednego z najbogatszych mirasdarów z nadbrzeżnej okolicy, do którego udawaliśmy się w gościnę. Położenie zmieniło się zupełnie; w miejscu bagna pokrytego sitowiem mieliśmy przed oczyma urodzajne grunta i lasy pełne drzew rozłożystych, w których cieniu bujały swobodnie najpiękniejsze ptaki. Zatrzymując się na noc w małej zatoce rzeki, spotkaliśmy olbrzymiej wielkości słonia wraz z przewodnikiem, który pozdrowiwszy nas opowiedział, że słoń należy do majora i że z jego polecenia czatuje tu na nosorożca, który od dni kilku czyni wielkie zniszczenia w polach ryżowych.

— A więc zamierzacie stoczyć z nim walkę? rzekł pan Stewens odpowiadając na uprzejme powitanie kornaka (przewodnika słonia).

— Tak jest, panie, i spodziewamy się wyjść z niej szczęśliwie, gdyż *Sawrana* oddawna jest zaprawiony do boju z *wyjadaczem ryżu* (nosorożcem).

Słoń usłyszawszy wymówione swe nazwisko podniósł głowę, jak gdyby potakując słowom swego dozorcy, my zaś wszyscy nuże w prośby do właściciela statku, aby się zechciał zatrzymać nazajutrz i na ląd nam wysiąść pozwolił, gdyż chcieliśmy koniecznie widzieć z daleka polowanie, o którem nikt z nas nie miał wyobrażenia. Pan Stewens zgodzić się musiał na nasze prośby.

Nosorożce przebywają dość licznie na równinach wybrzeży Gangesu, gdzie znajdują obfite pastwiska i bezpieczne schronienie. Jakkolwiek nie należą do rodzaju mięsożernych, liczyć je można wszakże do najdzikszych i najniebezpieczniejszych zwierząt. Żaden wyraz intelligencyi nie przebija w ich oczach, oswojone wszakże stają się łagodne jak baranki. Nie trzeba się jednak z niemi zanadto spoufalać, bo są niezmiernie ograniczone i przy swej wielkiej sile zabić mogą pieszczotą. Róg wyrastający im na nosie jest bronią straszną dla każdego przeciwnika. To też jeden słoń tylko śmie wyzywać nosorożca do walki, gdy jest do tego boju zaprawiony i kierowany przez przezornego kornaka. Nikt z nas nie zmrużył oka tej nocy, tem bardziej, że już przed trzecią

---

woczesna teorya *samopomocy*. Piękny tego przykład złożyli w tych dniach „pewni“ reprezentanci „pewnego“ zawodu. Spieszymy opowiedzieć fakt ten czytelnikom i czytelniczkom naszym, bo dla tego właśnie że jest rzadkim, sprawiedliwie zasługuje na rozgłos i uznanie.

P. X*** człowiek zacny i prawy, ale nieszczęśliwy, w ciągu kilkoletniej walki z wrogiemi sobie losami, wyczerpał wszelkie siły moralne, zadłużając się lichwiarzom wyssysającym z niego wszystko, co tylko uczciwą i mozolną pracą zdobywał. W obec niemożności znalezienia środków zarobku, któryby na potrzeby rodziny i na procenta wystarczył, zmuszonym został do chwilowego opuszczenia Warszawy i udania się w dalekie strony. W domu pozostała żona z małem dzieckiem. Wierzyciele, ujrzawszy że ofiara ich prześladowań z rąk im się wymknęła, jak stado drapieżnych kruków rzucili się na ostatki biednego mienia zbiegłego. Przysłany komornik zabrał wszystkie meble i ruchomości, pozostawiając nieszczęśliwej kobiecie zaledwie pościel, rozrzuconą na podłodze, na której biedna tuliła do zbolałej piersi swoje jedyne dziecię. Koledzy jednak i towarzysze jej męża dowiedzieli się o tem i porozumiawszy się z sobą udali się na miejsce licytacyi, na plac Krasiński,—tam zaś, pomimo słoty i niepogody, poczęli kupować zajęte przedmioty za wysoką cenę, gwałtem nieledwie wydzierając je chciwym handlarzom żydom, zapamiętale podbijającym każdą najdrobniejszą rzecz, dla tego tylko aby oduczyć *eleganckich panów* żeby na publiczne sprzedaże nie przychodzili i nie psuli im tańego kupna i dobrych interesów. W parę godzin niespełna ruchomości nabytemi zostały przez kółko zacnych przyjaciół, którzy zapisali własność takowych na imię dziecka. Tym sposobem zabezpieczyli je od powtórnego zajęcia, prawo bowiem broni i opiekuje się nieletniemi. Przeniesiono meble i ruchomości napowrót do mieszkania matki, rozrzewnionej tym dowodem przyjaźni, życzliwości i poświęcenia. Niedość na tem. Widząc że biedna kobieta pozbawioną jest wszystkiego co może zapewnić jej byt i utrzymanie, zebrali pomiędzy sobą składkę, dosięgającą kilkuset rubli i takową w najdelikatniejszy sposób jej złożyli. Żałujemy że naturalna dyskrecya zamyka nam usta —i nie dozwala ogłosić ich nazwisk, niech jednak cześć jaką temi krótkiemi słowami tu wyrażamy dla nich, będzie oznaką że zacna i niekrępowana wpływami interessu prassa, w kronice swojej zapisała wypadek, wspaniale odbijający na tle samolubstwa, jak rak nurtujące ciało naszego społeczeństwa.

W obec radości jaką czuje się w sercu myśląc o podobnem zdarzeniu, budzi się jednak i myśl smutna. Jak strasznie dalekiemi są od nas miłosierdzie i prawdziwa dobroczynność, jak do szpiku kości przekształ-

godziną poranną należało być na stanowisku, gdzie słoń miał oczekiwać przyjścia nosorożca. Pan Stewens niestrudzony gdy szło o wygodę i przyjemność gości, urządził bezpieczne i wygodne dla nas schronienie na olbrzymich rozmiarów drzewie baobab, zkąd jak z warownej twierdzy mieliśmy patrzeć na spotkanie Sawrany z *wyjadaczem ryżu*. Pani Stewens i pani Jacolliot chciały nam koniecznie towarzyszyć; słoń więc przeniósł je na miejsce obserwacyi, i po jego grzbiecie jak po drabinie wstąpiły na pień rozłożysty, gdzie następnie wszyscy pomieściliśmy się najwygodniej, na miękkiem mchowem posłaniu. Sawrana wraz ze swym przewodnikiem stał nieopodal od nas, wprost bagna zkąd ukazać się miał nosorożec. Każdy przyznać musi że położenie nasze było bardzo oryginalne; oczekiwałem wschodu słońca z bijącem sercem... Na przyległem drzewie usadowiło się kilku ludzi przybyłych z nami ze statku; Momiram, przewodnik Sawrany, rozmawiał z niemi po cichu, nagle zwrócił się do nas.

— Niebo bieleje na wschodzie, wyrzekł, wkrótce włosy Indry oświecą las cały, czy państwo pozwolą uczynić sobie jednę uwagę?

— I owszem, mów, odparł mu pan Stewens, który jeden pomiędzy nami rozmawiał językiem krajowców i tłómaczył nam ich słowa.

— Nosorożec ukaże się niezadługo; chcę was więc prosić abyście nie zdradzili waszej obecności tutaj gestem lub krzykiem, bądź co bądź nastąpi.

— Będziemy milczący i nieruchomi jak pień tego baobaba.

— Chciałbym zanieść do was jeszcze jedną prośbę.

— Mów, słuchamy cię.

— Jeżeli Sawrana polegnie w walce, i ja zginąć muszę. Ludzie wasi należą do mojej kasty, pozwolicie więc aby spalili moje ciało, nie dając go na pożarcie dzikim zwierzętom. Zaniesiecie następnie memu panu wiadomość o tem co zaszło...

(*D. c. n.*)

O KAMEACH I GEMMACH.

Gdybyśmy nawet połowę tego co mówiono i pisano o zamiłowaniu kobiet w drogich kamieniach, odrzucili na karb przesady i złośliwości nieprzyjaciół rodu niewieściego, oraz bezsumienności goniących za grubemi efektami powieściopisarzy, pozostanie jednak zawsze dość faktów, dających się poprzeć każdej chwili obserwacyą codziennego życia, a świadczących że ozdoby z tych cennych świecideł wielkiej u płci pięknej wszelkich klass i krajów używają wziętości. W czem tkwi tego zamiłowania przyczyna? na czem opiera się ta demoniczna rzeczywiście niekiedy ich siła? gdzie leży źródło tego nieprzepartego pociągu? czy nie w tem przypadkiem, że blask brylantów i blask oka kobiecego lgną ku sobie jako pokrewne?... są to pytania, których, obecnie przynajmniej rozstrzygać nie myślimy. Tym razem poprzestaniemy na wyrażeniu naszego zadziwienia, że ogół przynajmniej płci pięknej tak mało posiada wiadomości o przedmiocie tak powszechnie przez siebie ulubionym, o którym przecież nie mało ciekawych rzeczy byłoby do powiedzenia, — i aby choć w części temu brakowi zaradzić, zostawiając innym rzecz o drogich kamieniach, będących jedynie płodem natury i rzemieślniczego kunsztu, pomówimy tutaj słów parę o tych tylko ich rodzajach, których wartość polega nie tyle na ich blasku i barwie, ile na obrobieniu i artystycznych zaletach, które im sztuka nadała, to jest o *kameach* i *gemmach*.

Kamee już w odległej starożytności były jedną z ozdób najulubieńszych, a lubo jako wypukło rzeźbione i samą wielkością zwracające uwagę, bardziej niż inne kosztowności narażone były na rabunek hord barbarzyńców, jednakże dochowały się od owych czasów do naszych w znacznej ilości a zarazem w niepospolitym doborze.

Kamee mieszczą na sobie najczęściej głowy, czasem całe postacie a niekiedy nawet i grupy. W skutek doboru odpowiednich kamieni, rzeźby te były jakby kolorowane; na włosy np. i odzież korzystano z żył ciemnych, brunatnych, żyły jasne służyły na ciało, a na tło pozostawiano części kamienia niebieskie lub szare.

W starożytności nie tylko kobiety nosiły kamee w kształcie zapinek, kolczyków i t. p., ale i mężczyzni spinali niemi swoje szaty, w czem nawet wielce byli starannemi, gdyż odpowiedni układ fałdów i zręczne ich podczas mowy publicznej zarzucenie, uchodziło za nader skuteczny środek krasomówczy. Wiadomo przecież, iż pewien retor rzymski zapozwał jakiegoś człowieka o to, że potrąciwszy go przypadkiem na ulicy, popsuł mu układ fałdów u togi, i przez to wrażenie mowy jego znacznie osłabił.

Najpyszniejsze kamee powstały w Grecyi za czasów Peryklesa; ztamtąd sztuka ich wyrabiania dostała się do Rzymu, gdzie jednak także przez długi czas wyłącznie w rękach greckich artystów pozostawała. Doszły nawet do nas imiona kilku najcelniejszych rzeźbiarzy kamei, a mianowicie Dioskoridesa, Solona, Teukra i Hejusa, Nie wiemy prawie nic zgoła o sposobach technicznych, jakich oni używali, zdaje się jednak że znali już użycie dyamentu i proszku dyamentowego do rznięcia i szlifowania. Z pisarzy starożytnych tylko Pliniusz i Pauzaniasz przekazali nam nader szczupły zasób wiadomości w tej mierze. Zresztą wyrażenia techniczne w każdym języku najtrudniejsze są do zrozumienia; to też do dziś dnia nie wiemy dokładnie znaczenia starożytnych nazw rozmaitych rodzajów kamieni; nie wiadomo nam również z pewnością, czy starożytni posiadali rzeczywiście, jak niektórzy przypuszczają, sztukę zabarwiania drogich kamieni. Za główny środek ku temu miał im służyć miód, w najdelikatniejsze nawet pory wsiąkający.

W ostatnich czasach sztukę rżnięcia kamei wskrzeszono na nowo. We Włoszech wyrabiają dziś bardzo piękne kamee, które atoli z powodu wysokich cen, tylko bogatym ludziom są przystępne. Pominąwszy podniesienie się wartości pracy, na ceny te wpływa i ta okoliczność, że coraz trudniej jest znaleźć odpowiednie kamienie. Jako surrogatu poczęto zatem używać mu-

---

ciła nas chwila bieżąca na egoistów—kiedy przygoda podobna, którą przed kilkunastu jeszcze laty możnaby uważać za czyn pochwały godny ale naturalny, dziś wydaje się nam niemal heroizmem — czemś, na co by się w niejednej rodzinie bracia dla brata nie zdobyli, a już co o dalszych krewnych, to i niema co mówić.

Złośliwi, mogą nawać bieg naszego felietonistycznego pióra i przedmioty przez nas wybierane do jego gimnastycznych zwrotów, *dobrodusznością* odcinkową. Nie wstydzimy się tej nazwy i nie wypieramy się jej wcale. Owszem zgadzamy się wesoło i chętnie na przydomek *dobrodusznego kronikarza*, szczycąc się tem, iż łączy on nas ze szlachetną przeszłością, w której to co powyżej opisaliśmy uważanem byłoby za obywatelski obowiązek. A któż u nas dawniej nie był dobrodusznym, począwszy od wielkich do maluczkich duchem lub stanowiskiem. Dobrodusznym był Sobieski, chociaż pogromca Turków, w domu jednak Molierowskiej słabości człowiek; jak zaś *naiwnie i zacnie* dobrodusznym był Karol Chodkiewicz, świadczą o tem „listy" jego, przed rokiem przeszło wydane staraniem ordynacyi hrabiów Krasińskich, a które w tych dniach, przypadkiem, wpadły nam w ręce. Pisywał on do żony, swojej *Zosieńki*, jak na prawdziwego *dobrodusznego pantofla* przystało, a ona odpowiadając temu hetmanowi, temu znamienitemu mężowi potężny i straszny miecz dzierżącemu w dłoni, temu niezłomnemu i niezłamanemu, nazywała go pieszczotliwie *moja panienko*—boć zaprawdę panieńska, *dziewicza* dusza rozgrzewała te piersi silne jak pancerz ze stali. Wyobraźcie sobie jednak czytelniczki miłe nazwę taką podpisaną pod konterfektem rycerza siedzącego na hetmańskim *tarancie*, a pewno nie jedna z was uśmiechnie się w duszy. Więc i my pod wrażeniem tej lektury zawadziliśmy mimowolnie, —nieporównywając wcale małych rzeczy z wielkiemi, — o dziejową myśl dobroduszności u nas; ponieważ zaś i w poprzednich naszych odcinkach ocieraliśmy się o nią, zygzakowatym zwrotem kronikarskiego pióra, niewiedzącego od jakiego faktu do jakiej kwestyjki przeskoczyć, czy ubocznie czy na nią uderzyć, czy na prawo czy na lewo zahaczyć, czy *en face* czy z profilu przyglądać się jej należy, dziś nie opuściliśmy jej w przelocie i słabym zarysem naznaczyliśmy dla niej pewne odrębne miejsce

szli i na nich rzeźbić, — czego starożytni, którzy kamee tylko na *pietra dura* rzeźbili, zupełnie nie znali. Z tego bez porównania miększego i łatwiejszego do obrobienia materyału korzystają nie już artyści ale lada partacze, fabrycznie wyrabiając pseudo-kamee. Często też napotyka się z podziwieniem takie włoskie kamee, ordynaryjnie i niedbale z muszli wyrobione, w bogatej osadzone oprawie, której nigdy nie są warte.

„Gemmy“ są to znów szlachetne kamienie rzeźbione wklęsło. Starożytność przekazała nam ich znaczne ilości i to na wszystkich niemal rodzajach drogich kamieni, z wyjątkiem jednego dyamentu, bo na rubinach, turkusach, szmaragdach, topazach, ametystach, jaspisach, berylach, onyksach, chalcedonach i t. p., i na najliczniejszych agatach i karniolach. Ten ostatni kamień, znany także u nas pod nazwą „krwawnika“, jak w starożytności na gemmy, tak i przez dzisiejszych tak zwanych „grawerów“ najczęściej bywa używany. Gemmy przeważnie służyły do odciskania wypukło na wosku tego, co na nich wklęsło było wyryte. Używano ich też pospolicie do pieczątek i pierścieni,— a jeżeli nie doszły do nas w pierwotnej swojej oprawie, to dla tego, że łupiezcy rabując złoto, odrzucali precz kamienie, na których wartości się nie znali.

Ten praktyczny użytek do którego gemmy były przeznaczone, i który je każdemu w ręce podawał, tłómaczy nam znaczną ich ilość, w jakiej się wszędzie znajdują. Używanie sygnetów z pieczątkami, podobnie jak sztuka pisania, ginie w mgle wieków. To pewna, że używały ich już najstarsze ludy, jak Chaldejczykowie, Etruskowie, Assyryjczykowie i Egipcyanie.

Przystrajano w nie nieboszczyków przed spaleniem na stosie, tak, że ślady ognia na wielu starożytnych kamieniach są widoczne. Egipskie gemmy obficie znachodzą się w grobach i piramidach, był bowiem zwyczaj kładzenia mumiom pod język kamienia w kształcie tak zwanych „skarabeów“. Chrabąszcz ten po prostu, uchodził za symbol zmartwychwstania z grobu, i bywał wyrobiony z mniej lub więcej kosztownego kamienia, z mniejszą lub większą sztuką, stosownie do zamożności rodziny nieboszczyka. Na płaskiej stronie, to jest na brzuchu chrabąszcza wyrzynano rozmaite figury, hieroglify lub napisy. Takie skarabee po dziś dzień znajdywane bywają w znacznej ilości, a zabobonni Arabowie i Turcy uważają je za amulety doświadczone przeciw wszelkiemu złemu. Wyznawcy bowiem Proroka po dziś dzień przecho wują najsilniejszą wiarę w czarodziejską siłę pewnych roślin, zaklęć i kamieni. Dość przypomnieć sobie tylko znakomitą rolę, jaką sygnet króla Salomona w powieściach Tysiąca i jednej nocy odgrywa.

(D. n.)

SZKICE
Z DZIEDZINY CHEMII.

(Ciąg dalszy.)

Przymiotnik *hermetyczny*, nadawany naczyniom szczelnie zamykającym się, pochodzi prawdopodobnie z tegoż źródła, gdyż przypomina baczną troskliwość, z jaką uczniowie Hermesa unikali wydania choćby najdrobniejszej cząstki swej wiedzy. Kapłani z Teb i Memfis, pierwsi depozytaryusze nauki Hermesa, zobowiązywali pragnących się z nią zapoznać do zachowania tajemnicy najstraszliwszą przysięgą. Adept przyrzekał uroczyście nie zdradzić sekretu ani giestem, ani słowem lub pismem. Jeżeli zdarzyło się że gadatliwość przemogła obawę kary, zmuszonym był wychylić dekokt otrzymywany z jagód wawrzynu, który mu na wieki zamykał usta. Nauka dziś dąży do rozpowszechnienia się, rozkrzewienia w masach, w owych czasach przeciwnie kryła się w cieniach, pozostawała w odosobnieniu od ogółu, ztąd też wypływały jej błędy i powolny postęp a raczej zastój wielowiekowy. Nauka hermetyczna z kolei przechodzi od kapłanów z Memfis do filozofów bizantyńskich, a wreszcie w ósmym wieku do Arabów. Alchemik Abu-Mussah-Diafar-al-Sofi, więcej znany pod imieniem Gebra, słynny lekarz, pozostawił mnóstwo pism dotyczących wytworzenia kamienia filozoficznego. Wielu alchemików poczytywało Gebra za autora *Tablicy szmaragdowej*, wszelako inni zapewniają, że Hortulanus w XI wieku udając się do Hiszpanii, znalazł ją w rękach Hermesa, w ciemnej fossie, w której ciało tegoż było pogrzebionem. Nie wzruszaj ramionami czytelniku; dzieje alchemii należą do tej epoki, w której wszystko jest cudownem, a mistycyzm odgrywa niemniejszą rolę od ascetyzmu. Geber ciałem i duszą poświęcił się poszukiwaniom, uwieńczonym w końcu pomyślnym rezultatem, gdyż wykrył słynny elixir czerwony, przedłużający życie i młodość, — tak przynajmniej podaje tradycya.

W IX i X wieku Mohammed Abu-Bekr-Ibn-Zacaria zwany Rhazes—w X i XI stuleciu Abu-Ali-Hussein-Ibn-Sina znany więcej pod imieniem Avicenny, w XII wieku Ibn-Rochd czyli Averrhoes służą pod sztandarem alchemii. Ograniczamy się tu tylko na przytoczeniu ich nazwisk, które zresztą zasłynęły w filozofii, aby przejść do nierównie ciekawszej epoki w kronice alchemii, a mianowicie do trzynastego i czternastego wieku.

Gorączkowe pragnienie złota pomnaża zastępy alchemików. Po fanatycznym szale który przerzucił tłumy krzyżowców do Palestyny, zrodził się w mózgach średniowiecznej arystokracyi żarliwy zapał dla utopii *robienia złota*. Nie tylko uczeni owoczesni, lecz monarchowie i biskupi, magnaci i mnichy oddawali się zapamiętale tej mrzonce. W końcu XIII wieku uczeni wysilają swe zdolności w celu wynalezienia *kwintesencyi* dziwowiska nad dziwowiskami. Albert Bollstaedt zwany *Albertem Wielkim*, mąż niepospolitego umysłu, dla urzeczywistnienia tej chimery poświęcił skarby, a w rezultacie swych poszukiwań wykrył sposób kupelowania srebra i złota i produkowania rozmaitych tlenków ołowiu, jakoto minii, glejty i innych. Uczeń jego Św. Tomasz z Akwinu postępuje w ślady swego mistrza; widząc że para arszeniku bieli miedź, sądził że przez ten proces zdoła *przetworzyć miedź w rzeczywiste srebro.*

---

w naszych kronikarskich notatkach. Bo z myślą jak z ptaszkiem — puść ją swobodnie a uleci, pojąc się urokiem coraz to nowych obrazów, wrażeń, uczuć. Zwracać ją zatem ciągle należy i wypada do punktu wyjścia, do założenia, trzymując się go jak przewodniej nici Aryadny w frazeologicznym labiryncie—bez tej bowiem, w naszem przekonaniu, sprawozdawcza robota felietonów „u ogniska“ byłaby tylko chaotyczną aglomeracyą ścieżek bez wyjścia lub próżnych wyrazów.

A gawęda *ogniskowa* pomimo swojej lekkiej natury niechce mieć cokolwiek bądź wspólnego z akrobatycznemi ćwiczeniami w treści samej. Dla tej nie opuszcza nas szacunek ani na chwilę; przed nią bijemy czołem; chociaż — jak jaskółka która lepi z wszystkiego swoje gniazdko i zamknięta w niem dopiero, na cześć Pana nad Pany śpiewa, — tak i my schylamy się po materyał w rozmaite strony fizycznego i moralnego świata. Nieraz z błota budujemy felieton, kładąc tylko tu i owdzie to złoty kłos pszenicy, to srebrne ziarno żyta, to fiołek, to bławatek, aby odjąć mu *czarny* charakter zbyt realnej powszedniości codziennej, aby otrząsnąć się i zerwać z tradycyą tandeciarskich, arlekińskiah szychów nabytych po podupadłym cyrku felietonowej tressury, zachwycającej po dziś dzień chciwe zabawy tłumy. Dla tych, wyjmuję jednak z nowiniarskiego worka anegdotę, która niech już będzie nareszcie *zakończeniem* dzisiejszego, nieumiarkowanego gadulstwa.

Wiecie niezawodnie dobrze czytelniczki miłe, czem i jakie są nasze służące warszawskie, więc... zaczynam.

Pewna pani godziła kucharkę i ułożywszy się z nią o zasługi, wskazywała jej tylko czem ma się zajmować, jak postępować, o czem mieć staranie. Po dość długiej mówce dodała w końcu.

— Przestrzegam cię moja kochana, że co Piątek, razem z tobą pójdę za Żelazną Bramę.

— Dobrze pani — odrzekła kucharka.

I po chwilowym namyśle dodała:

— Ale przepraszam panią... którаż z nas w takim razie nieść będzie koszyk?

(X—i.)

Rajmund Lulle wykrywa kalomel (chlorek rtęci czyli związek chloru z merkuryuszem) i sposób wyrabiania olejków, jakie otrzymywał dystylując rośliny w których spodziewał się znaleźć srebro. Sławę jego przyćmiewa wszakże podejrzenie, niestety dość uzasadnione, że na zlecenie Edwarda III króla angielskiego fabrykował fałszywą monetę.

Czwartym z kolei alchemikiem jest Roger Bacon, należący do uczonych tejże epoki, którą zamyka francuz Arnold de Villeneuve.

Pojęcia Bacon'a, mnicha, w którego życie wplotło się tyle cierni, były trzeźwe i zdrowe, dziwnie też uderzają wpośród rozpowszechnionych wszędzie w tej epoce przesądów. „Metale, mawiał on, są zbyt ubogie, aby z nich można było pozyskać złoto lub srebro — nie mogą dać tego czego nie posiadają“.

— Złudzenie! odpowiadali mu zagorzalcy, ołów pozbawiony srebra, może wydać srebro; czyż kura nie niesie jaj?

Oto argument alchemików, nic nie znaczący w obec dzisiejszych pojęć, lecz w owe czasy poczytywany za nieodparty. Baconowi zawdzięczamy wiele idei nowych i płodnych, które po ogołoceniu ich z mistycyzmu, dziś jeszcze stanowią pewną cząstkę w dziedzinie wiedzy przyrodniczej.

Arnoldowi de Villeneuve winni jesteśmy poznanie własności kwasów: siarczanego, solnego i azotnego.

Jak widzimy, alchemicy oddali niezaprzeczone usługi chemii, która obecne swe postępy poczęści ich pracy mozolnej zawdzięcza.

(D. c. n.)

TEATR.

Niewinni dramat w 3-ch aktach, przez Władysława Okońskiego.

„Niewinnym“, przyznał tegoroczny konkurs krakowski *szary koniec* odznaczeń, bo zaledwie *polecenie do grania*, bez wawrzynów, o które najzimniejszym nawet autorom dramatycznym chodzi bardzo—i co niewłaściwsza, bez pieniężnej nagrody. Konkurs nie jest i nie powinien być trybunałem moralności. Fałszywą tendencyę może i powinien skarcić jego protokół, ale konkursowe *jury* pieniężnie wynagrodzić jest obowiązanem udatność usiłowań talentu. Po za tą teoryą niema sprawiedliwości, niema konkursu, niema zdania, niema doniosłości wyroku. Za to też, o ile wiemy, tu i w Krakowie, publiczność wyborowa, intelligentna, myśląca, była stokroć od sędziów sprawiedliwszą;—oklaskami, zajęciem, wrażeniem uwidomionem na twarzach, manifestowała, że głęboka i wcale niepospolita sztuka podobała się jej bardzo. Rzeczywiście nader mało utworów nowoczesnych nosi na sobie charakter takiej odrębnej oryginalności, jak dramat polecony do grania przez komisyę konkursową krakowską. Forma jego, jakkolwiek nie można powiedzieć żeby była *ściśle* sceniczną, zwłaszcza porównana do gwałtownej i szalonej nieraz *ruchliwości* Sardou, trzyma się jednak desek bardzo mocno, a pod względem żywości akcyi nie stoi niżej od wielu sztuk A. Dumas'a (syna). Dosyć jako przykład popierający nasze zdanie, przypomnieć ostatnią czy przedostatnią, „Monsieur Alphonse“. To zbliżenie z Dumas'em istnieje jeszcze i w myślowej kompozycyi sztuki, w *tezie* rozwiązywanéj jak łamigłówka albo zadanie algebraiczne, która jakkolwiek *świetnie odważna* i ponętna czasem, czasem zaś odpychająca i niemiła, jest potroszę *nużącą*, chociaż nie nudną, bardzo często *paradoksalną*, a niekiedy nawet niemoralną. Bezwzględnego *uniewinnienia* nie mogą ani pragnąć ani żądać ludzie o piersi Fidyaszowem dłutem wykutej; garną się zaś pod jej sztandar ci, którym krawiec kraje kształty i miarę na klatkę zamykającą serce. Ten zarzut przeciw tendencyi, jak i *podobieństwo* wyżej wspomniane, nie odbierają jednak utworowi cechy oryginalności. Chociaż dramat snuje się z uczuć i namiętności kosmopolitycznych,—swoją drogą,—znać że autor maluje dzisiejsze, własne, rodzinne, chociaż naśladownictwem obcych zwyczajów i obyczajów skalane społeczeństwo. Wszystko się bowiem w obecnéj chwili zaciera coraz bardziej i *warszawiak* niewiele się różni od mieszkańców przedmieść paryzkich Belleville, Passy lub Batignolles,—niekiedy zaś nawet przypomina *wschodnie typy* lwów i fashionablów — Kairu i Aleksandryi. Co prawda nie zdaje on sobie sprawy z filozoficznych zadań i nie krępując się wcale teoryami o wolnéj woli i ograniczeniach jej metafizycznych, z „niezłomną wolą“ i postanowieniem włazi i wdziera się do kantorów, wsuwa w lichwiarskie interesa, w spekulacyjki dwuznaczne, aby wyjść na porządnego człowieka, w całem „krawieckiem“ tego słowa znaczeniu. Ale wróćmy do sztuki.

Treść jej jest następującą. Bolesław, młody adwokat, kocha Zofię, swoją młodą żonę, wychowaną przez ojca Katona, który przeszedł przez różne starodawne upadki, zapomniane pod szronem srebrzącym włosy, pod długoletnią praktyką cnoty. Dziecię jego wierzy w nią i czyni z niej zasadę życia swojego. Na nieszczęście Bolesław jest człowiekiem słabym. Walcząc w teoryi z pokusą, w rzeczywistości ulega jej czarowi. Spotkawszy się gdzieś na wsi z Julią, do któréj sentymentalnie wzdychał za studenckich czasów, roznieca w sercu młodej dzieweczki miłość namiętną. Namowy i żarty lekkomyślnego przyjaciela Alfreda, kruszą ostatki jego wahania. Zchodzi on do najpospolitszego stanu niewierności małżeńskiej, oddając pół serca kapryssowi zmysłów, a drugie pół zachowując dla uczucia świętego przywiązania do dobrej i szlachetnéj żony. Ale ta nie zgadza się na tę połowiczność—odpycha męża i rzuca go w objęcia kochanki. Samotna jednak, zaczyna żałować swego kroku, choć do żalu tego nie przyznaje się. Ojciec zaś towarzyszący jej w podróży zagranicę, z filozofów a nie z ewangelii czerpiąc naukę, chce ją nawrócić do chrześciańskiej zasady przebaczenia. Tu autor miesza teoryę usprawiedliwienia, uniewinnienia, z teoryą miłosierdzia i litości, ale ażeby *coute que coute* ocalić pierwszą w rozwiązaniu, wzmacnia charakter Bolesława, podnosi go cierpieniem, wybiela jak gołębia i każe mu winę własną zwalić na głowę Zofii. Niekonsekwencya trzeciego aktu, niezgoda z pierwszym aż nadto widoczna; — niemoralność jednak sztuki dzięki temu traci swoją doniosłość, proste bowiem zastanowienie się nad faktami akcyi dramatycznéj, wrodzone sercu ludzkiemu uczucie sprawiedliwości, rozbierają tendencyę z jej demonicznéj siły perswazyi jaką posiadała w zaczątkach dramatu. Wszystko czego autor chciał dowieść, pozostaje niedowiedzionem; stare prawdy niestrącone z piedestału, jasnością swoją zwyciężają zręczne ale paradoksalne utalentowanego autora zamiary. Zakres myślowy, w swojem szerokiem, po za sztuką zostającem rozwinięciu, wydający się niebezpiecznym, zgubnym, fatalnym, zbiega do malutkiego znaczenia dyssertacyjki filozoficznéj, przebrzmiałéj, przeżytéj, zużytej. Gdyby nie ten talent, gdyby nie artystyczność pewnych szczegółów, gdyby nie werwa pisarska, utwór ten, tylko na fałszywym kierunku tendencyi wsparty, nie ostałby się ani chwili i nie obudzałby zajęcia. Tyle co do treści, któréj detaliczny opis nie byłby dość zrozumiały dla młodych czytelniczek „Ogniska“, a teraz pomówmy o jej budowie w scenicznem znaczeniu.

Akt pierwszy, w naszem przekonaniu, pominąwszy pierwszą rozmowę Bolesława z Zofią, jest doskonałym. Pełen życia, zawiązuje wybornie węzeł dramatyczny, — wolno—w akcyi— wyrusza z miejsca, coraz szybciej zaś i sporzej biegnie ku końcowi. Zasłona spada nad efektownym znakiem zapytania, nader misternej roboty. Drugi, jakkolwiek niekiedy za leniwy i niedość skory, jakkolwiek w sytuacyi żony z kochanką, w dyalogu Julii z Zofią, nienaturalny, jest jednakże pełen uroku, pełen wdzięku, chwilami nawet pełen poezyi. W scenach,— gdzie jest obrazem wewnętrznego dramatu rozgrywającego się w duszy Zofii, — dosięga wyżyn mistrzowskich. O trzeciej odsłonie, nie możemy prawie nic dobrego powiedzieć. Pegaz rozsiodłany, pasie się na sentymentalnej łące chorobliwych niekonsekwencyj, — zleniwiał, zapał nie wiedzie go szparkim pędem naprzód, dywaguje czasem, słabnie i mdleje. W chaosie rozwiązujących sztukę scen widnieje jednak ciągle, dobrze przeprowadzona w fazach rozlicznych, postać Zofii. Nielogiczność nie zmazuje jej z czoła ani kobiecości ani anielstwa. W ogóle druga połowa trzeciego aktu zupełnie niepotrzebna, a nawet, — po raz pierwszy wolno nam użyć tego wyrazu, nudna. Oto szkielet—sceniczny. Charakterystyka niedosadna. Zofia i Alfred jedynie są ludźmi. Dobrycz, Bolesław i Julia, to nie żywe istoty, tylko *teoryjki* bez ducha, krwi i ciała. Przekonania, kontrowers, filozoficzna zawiłość, zamieniły je w Hamletowskie flety, — na których młody autor —

nie zdołał wygrać pieśni pełnej bólu, męki, uczuć, namiętności. Serce nie sympatyzuje z niemi, ani ich nienawidzi, ani nawet pogardy im nie święci — bo to manekiny, automaty... *niewinni*. Jedną z głównych zalet sztuki jest barwny i błyszczący styl, oszlifowany jak dyament i ztąd jak dyament łamiący w sobie żywo wszystkie promienie myśli. Dyalog jednak przez to popada często w wyszukaną *manierowość*, brak mu bowiem nieraz koniecznej dramatycznej zwięzłości i potoczystości. Szczególnie *miłosne gruchania*, urobione są, wypracowane i ujęte we frazesy *à la Marivaux*. Pomimo tych rozlicznych zarzutów, śmiało powiedzieć możemy, że „Niewinni“ są prawdziwem zjawiskiem w dzisiejszej europejskiej literaturze dramatycznej — nie tylko bowiem u nas, ale nawet wszędzie zrobiłyby niezawodnie wielkie i głębokie wrażenie. Obejdą one bezzaprzeczenia z powodzeniem bardzo wiele scen, chociaż nie są przystępnemi dla ogółu słuchaczy, nie mogąc porwać i zachwycić publiczności z ultra-górnych sfer teatralnych.

Wykonanie „Niewinnych“ na scenie Teatru Rozmaitości można nazwać koncertowem, chociaż paru osobom grającym, role nie przypadły właściwie do miary i zakresu ich talentu.—Pani Modrzejewska grała z *maestrią* wyższą nad wszelkie pochwały. Jest to najznakomitsza kreacya tej znakomitej artystki i mniemamy że skłoni ją nadal do szukania ról w repertoarze nowoczesnym, oryginalnych nowych sztuk polskich. Niech pomni, że jedynemi rzeczywistemi tryumfami jej na scenie naszej, były: „Śluby panieńskie“, „Panna mężatka“, „Młoda Wdowa“ i „Niewinni“. Dziwić się temu nie można, bo—pomimo najpoufalszego obcowania z arcydziełami europejskiemi, *swoje*, chociaż drobne i proste, daje się odczuć i pojąć stokroć lepiej i łatwiej od *cudzego*.— Panna Popiel zawsze sympatyczna na scenie, chociaż ujęła Julii, trochę temperamentu i namiętności, wykonała trudne zadanie z prześliczną rozmaitością bardzo wykończonych szczegółów.— P. Rapacki, pomimo że niewiele uczucia wlał w postać ojca, szlachetnie zarysował jednak kontury tej postaci. — P. Leszczyński, w nader ciężkiej i nierównej roli zwycięzko pokonał straszliwe trudności.— P. Tatarkiewicz, tak charakterystyką jak wykonaniem, wlał w Alfreda wszystkie soki żywotne, cynicznego a zarazem dobrze wychowanego młodziana, króla... warszawskich „mieszczańskich“ salonów. Scenizacya udatnością swoją i starannością zwróciła powszechną uwagę; reżyserya była wykwintną a dekoracye i akcessorya zlewały się w wyborną całość.

Zyg. Sarnecki.

Z DZIEDZINY MUZYKI.

Rozpoczynając szereg artykułów pod powyższym tytułem, nie mam zamiaru dawać szanownym czytelnikom uczonych rozpraw, naszpikowanych technicznemi wyrażeniami, lecz owszem starać się będę jak najprzystępniej zdawać sprawę z ruchu muzykalnego, tak w Warszawie jak i po za jej murami. Ramy naszego pisma są za szczupłe na to, aby się bawić w szerokie oceny dzieł muzycznych lub gry artystów. Dla tego więc na wstępie oświadczyć muszę, że w poglądach moich umieszczać będę tylko zdania ogólne lecz treściwe, tak aby czytelnicy jasne o rzeczy powziąść mogli wyobrażenie.

Sezon koncertowy rozpoczął się w tym roku znacznie wcześniej niż zwykle, a to za sprawą impressaria Strakoscha, który zjechał już z końcem września do Warszawy, aby zaprodukować się ze swoimi artystami. Tym razem reklamy nie były kłamliwemi. Panna Donadio, śpiewaczka koloraturowa *par exellence*, wzbudziła zapał prawdziwy. Wszystkie pisma do znudzenia mówiły o téj artystce, nie będę więc powtarzał tych pochwał, bo o nich już wiecie. Z pomiędzy dwóch artystów towarzyszących wędrówce panny Donadio wyróżnił się wiolonczelista p. Hollmann. Pisano o nim wiele, chwalono go nad zasługę i wartość, a po ostatnim jego występie w Resursie Kupieckiej, sąd pochlebny zmodyfikowano. Czyż nie było lepiej odrazu rządzić się zasadą: *suum cuique*? Co do mnie, przyznaję że p. Hollmann ma wielki talent, ale dotąd przedstawia się tylko jako wirtuoz goniący za sztuczkami, a i te nie zawsze mu się udają. Artyzmu prawdziwego jeszcze tam niema, choć materyału nań nie brakuje. Szkoła Servais'go, w której się p. H. kształcił, odznacza się świetnością techniki, zbytnią może afektacją w uczuciu, oraz zamaszystością smyczka w rzeczach energicznych. Pan H. wiernym dotąd jest uczniem téj szkoły; skoro poczuje się samodzielnym, nie wątpię że stanie w rzędzie pierwszych wiolonczelistów.

Po odlocie tych wędrownych Strakosząt.. przepraszam... artystów, rozpoczął się na dobre sezon zimowy w Towarzystwie Muzycznem. Z dwóch wieczorów dwutygodniowych urządzonych tamże, ostatni odznaczył się pięknym *wyborem* dzieł *niewyborowo* wykonanych. Sonata Bethovena i kwartet Schumana, przedstawiły się w sposób mogący odstraszyć publiczność od muzyki pokojowej. Zrobiłem mimowoli uwagę, że wielcy autorowie są bardzo nudnemi wtedy, gdy podejmą się ich wypowiadać tak niepowołani jak pan *von* Nolte i jemu podobni artyści a raczéj grajkowie. Nawet wzorowe wykonanie sonaty Mozarta na dwa fortepiany, nie zdołało wynagrodzić nudów i niesmaku, które na tym pamiętnym wieczorze ogarnęły wszechwładnie słuchaczów. Za istotną zasługę Towarzystwa poczytać należy wyprowadzenie na widownię p. Michałowskiego. Młody ten fortepianista wykazał w grze swojej pierwszorzędne zalety; piękność uderzenia, zdrową i jasną technikę i poczucie artystyczne. Czekamy niecierpliwie dalszych występów p. M. aby poznać jego grę we wszystkich szczegółach. Warto aby ten artyssa wykonał który z koncertów Bethovena lub Mendelsohna, gdyż wtedy okaże się w całéj pełni jego dążność i pojęcie o sztuce.

Zajmującym koncertem obdarzył nas pan Münchejmer. Różnorodne utwory tego kompozytora, zająć mogły każdego myślącego słuchacza. Dążność w nich zawsze szlachetna, szata zewnętrzna świetna, bo wielką zaletą p. M. jest barwność kolorytu orkiestrowego, w czem nie wszyscy muzycy celują. Głównym numerem na wspomnianym koncercie był najnowszy utwór orkiestrowy p. t. „Legenda o Twardowskim“. Pan M. dał się nieco porwać ogólnemu prądowi muzyki programowej. Nie przemawia to do mego przekonania, albowiem chęć uwydatnienia w muzyce rzeczy materyalnych, zniża sztukę i odbiera całe jej duchowe znaczenie, przestaje działać bezpośrednio na uczucie, a zwraca się więcéj do zmysłów. Odejmijmy program w utworze tego rodzaju, a całości nie zrozumiemy, bo przedstawi się ona w postaci fragmentów, znaczenie których trudnem jest do odgadnięcia.

Pan M. starał się wprawdzie o zachowanie organicznego związku w swojej legendzie, przez wprowadzanie pewnego motywu (polonez) do różnych ustępów, lecz mimo to nie zdołał uniknąć rapsodyczności, bo to jest koniecznem następstwem muzyki programowéj.

Instrumentacya za to w „Twardowskim“ znakomicie się uwydatnia. Są tam połączenia nader zręczne i świetne efekta, wykazujące w całéj pełności technikę kompozytora.

Ustępy z opery „Stradiota“ były ozdobą programu. Barkarola z tej opery, pięknie przez p. Filleborna wyśpiewana, musiała być powtórzoną i wątpić nie można, że i na scenie równeż zajęcie wzbudzać będzie. Zaznaczyć mi w niej wypada nader zręczną riturnellę, w której efektownie brzmi gamma na harfie wraz z fletami i klarynetami. Koloryt to świeży i ciepły.

Żałować wypada że publiczność nasza nie zapełniła Sal Redutowych tak, jak spodziewać się należało. Zasługi p. M., jego działalność artystyczna i obywatelska powinny były otrzymać nagrodę w uznaniu *realnem*.

O innych dać się mających koncertach nie omieszkam zdać sprawę czytelnikom, a z tego co się zapowiada widzę, że sezon obecny interesująco się zaczyna, i być może że wpłynie na podniesienie się poziomu sztuki w Warszawie.

A. Ł.

TREŚĆ NUMERU: **Z „Listków jesiennych“** wiersz, z Wiktora Hugo. — **Na mylnej drodze**, powieść przez Krystynę Narbuttównę (c. d.). — **Zdobycie Grenady**, opowiadanie historyczne (c. d.). — **Pietnaście dni na wybrzeżach Gangesu**, wyjątki z dziennika podróży A. M. (c. d.) — **O kameach i gemmach.** — **Szkice z dziedziny chemii** (c. d.) — **Teatr:** „Niewinni“, dramat w 3 aktach p. Wład. Okońskiego — p. Z. Sarneckiego. — **Z dziedziny muzyki** p. A. Ł. — W odcinku: **U ogniska.** — W dodatku; **Przysięga Debenhama**, ark. 31.

Druk J, Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Октября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 55.)

ROZDZIAŁ IX.

Niebezpieczeństwo morza.

Walka była krótkotrwałą ale zaciętą, Amerykanie wszystkich sił dobywali żeby otworzyć drzwi, Anglicy starali się je przytrzymać; Arczy rzucił się rozpaczliwie na sztabę, broniąc się odważnie swoją dzidą, Amerykanie rzucili się na nich; każdy szamotał się ze swoim zapaśnikiem; ktoś wystrzelił z pistoletu, kapitan upadł na pokład wraz ze swoim przeciwnikiem; De Benham złapany za gardło, pchnął swego na brzeg okrętu i tak go tam ścisnął, że Yanke gotów był go puścić i poddać się, a Arczy, chociaż bardzo naciśnięty przez trzeciego, nie dawał mu się do sztaby przybliżyć.

Nowy aktor się wtedy ukazał na scenie; brudny, uczerniony dymem, uzbrojony w ciężki żelazny pogrzebacz, jeden z palaczy przybywał im na pomoc, i przybywał w sam czas, bo Arczy już zaledwie się trzymał i słabo się bronił; Amerykanin przygniatał mu piersi nogą i wyciągał rękę do sztaby, ale straszny pogrzebacz padł z całej siły na jego głowę i położył go bez przytomności na pokład. Arczy pobiegł do De Benhama, który siłą tylko przytrzymywał swego przeciwnika i nie mógł go puścić, i za chwilę wszyscy federalni byli rozbrojeni i walka się skończyła.

Kapitan Hay zapytał majtka którego zastał przy rudlu czy się chce poddać i dopomódz im do doprowadzenia okrętu do jakiego neutralnego portu. Wahał się ale niedługo.

— Tak samo to zrobicie, powiedział, bezemnie jak ze mną.

— Sambym to uczynił, odrzekł kapitan chociażbym miał tylko jednego człowieka do pomocy.

— Wolę się więc poddać i być przynajmniej wolnym.

Następnych chwil użyto otwierając komórkę gdzie był zamknięty sternik i uwalniając go z kajdan, potem zamknięto trzech jeńców na jego miejscu i natłoczono paki z bawełną nad drzwiami wiodącemi na dół.

P. Zacharyasz Polter otrząs się jak pies wychodzący z wody i rzekł oglądając się w koło z uśmiechem:

— Jużto byłbym wam wdzięczniejszy gdybyście byli trochę wcześniej mi drzwi otworzyli i pozwolili z wami sobie pohulać. Czy nie myślisz, kapitanie, że dobrze byłoby zmienić kierunek i ku Bermudom się udać.

Wyniesiono zaraz karty i spiesznie się naradzono. Okręt znajdował się teraz o jakie cztery mile na wschód od przylądka Hatteras. Nie można było myśleć o powróceniu na dawną drogę i o żeglowaniu wzdłuż blokowanych wybrzeży żeby do Nassau popłynąć. Rozbierano więc kwestyą, czy się udać do świętego Jerzego na wyspach Bermudskich, czy też przyjąć śmielszy wniosek popłynięcia wprost ku wyspom Azorskim.

Polter, który nie miał może wielkiej ochoty daleko się zapuszczać, był za Bermudami; kapitan i De Benham trzymali owszem za wyspami Azorskiemi. Jedna i druga propozycya miała swoje korzyści, Święty Jerzy był angielskim portem i leżał tylko o ośmdziesiąt mil od miejsca gdzie się znajdowali, a najbliższa z wysp Azorskich oddzieloną była od nich odległością cztery razy większą. Ale żeby się udać do św. Jerzego, trzeba było się cofać prawie w tym samym kierunku południowo-wschodnim jakim dotąd płynęli, trzymając się na tych wodach gdzie było można spotkać najwięcej Amerykanów, kiedy obierając za cel podróży wyspy Azorskie, w przeciwną stronę by się udawali, zbliżaliby się do Europy a Amerykańskie wybrzeża i ich niebezpieczeństwa pozostawialiby dalej za sobą za każdym obrotem szrub.

Szło im także o bawełnę; nie mogli jej teraz wieść do Nassau, a musiała się jednak dostać do Anglii. Nareszcie naprawy jakich wymagał *Ptak Burzy* mogły być daleko lepiej i taniej uskutecznione w Liwerpool niż przez pana Wilbur H. Sakem w Nassau.

Czas do narady był krótki, ale ten plan skierowania się ku Europie zdawał się o tyle lepszym, że już tylko zależał od ilości węgla jaką posiadali.

Nie rachując na nieprzewidziane wypadki potrzebowali, z jedną tylko maszyną, gdyż druga była zupełnie niezdatną, od dwunastu do czternastu dni żeby dojechać do Horty, na wyspie Fayal. Szło więc o to czy mieli dosyć paliwa na tak długą podróż.

Naczelny mechanik poszedł obejrzeć w jakim stanie znajdowały się składy węgla i powrócił z miną nie bardzo zadowoloną,

— Cóż, panie Dawis, czy pociągniemy jeszcze czternaście dni i nocy? zapytał kapitan.

— Możemy pociągnąć jeszcze dziewięć dni i dziewięć nocy i może jeszcze ośm godzin, odpowiedział mechanik.

Kapitan zagryzł usta.

— Bardzo dobrze, Dawis, powiedział po chwili, wróć do maszyny i naprzód. Oddalmy się przedewszystkiem o kilkanaście mil od wybrzeża, a jutro urządzimy żagle, i tym sposobem będziemy się starać uzupełnić brak węgla. I obróciwszy się do De Benhama dodał z uśmiechem: W najgorszym razie, panie nadzorco, wypalimy kilka pak twojej bawełny.

I tak rzecz została zdecydowaną i *Ptak Burzy* skierował się ku wyspom Azorskim.

De Benham wziął na bok Arczybalda.

— Boję się żeśmy na pół zamordowali Meksykanina, powiedział. Hay wymierzył mu w głowę cios którym mógł wołu zabić.

— Mniejsza o Meksykanina, odpowiedział Arczy, lepiej pomyślmy o twojej ranie.

— O mojej ranie! co za rana? I De Benham, który nie wiedział nawet o tem że był ugodzonym, zobaczył dopiero że koszula jego była cała zbroczona krwią. W jednej chwili rozpiął kamizelkę i koszulę.

— Widziałem jak nóż zabłysnął, powiedział, ale nie domyślałem się że mnie uderzył. Musi to być tylko draśnięcie.

— Draśnięcie? powtórzył Arczy; jest to rana długa przynajmniej na cztery cale, ale nie bardzo głęboka zdaje mi się. Nóż musiał uderzyć o żebro i w górę pójść. Czy cię nie bardzo boli?

De Benham rozśmiał się.

— Jeszcze nie, powiedział; nie wiedziałem nawet że mnie dotknął. W każdym razie, stadnia jest głębsza od tej rany, a brama kościelna szersza.

— Im prędzej ją obejrzymy, rzekł Arczy, tem lepiej.

I koniecznie wezwał pomocy kapitana; ten będąc jak wszyscy dowódcy na morzu, trochę chirurgiem, opatrzył i obwiązał ranę, może nie bardzo zręcznie ale jako tako.

Ukończywszy tę czynność, poszli do kajuty De Benhama, żeby zobaczyć co się działo z Manuelem.

Zastali go już przytomnego; oczy wyszły mu na wierzch, karmazynowy był cały od wysileń jakie czynił żeby zerwać swoje pęta, i przegryzł prawie chustkę z gummą elastyczną włożoną mu między zęby. Okuli go w kajdany, z których niedawno wyzwolili sternika i zamknęli go osobno do ciemnego gabineciku obok kajuty kapitana.

Nadeszły teraz trudne czasy, czasy wielkiej i ciężkiej pracy, gdyż wiele było do czynienia, a mało ludzi zdatnych. Z całej załogi znajdującej się na wolności, Amerykanin był tylko zdolnym marynarzem, a na jego dobrą wiarę niebezpiecznie było liczyć. De Benham i Arczy byli nowicyuszami; palacze, chociażby ich oderwano od ich pracy, nie wiele więcej byli warci, a mechanik był przykuty do swych maszyn. Trzeba było bardzo mądrego urządzenia żeby sobie dać radę z tak niewystarczającą siłą; musiano rozdzielić godziny i zajęcia z największą dokładnością, zostawiając każdemu jak najmniej spoczynku, i korzystając jak najwięcej z wytrwałości wszystkich.

Uradzono więc, że kapitan i sternik po kolei obejmą dowództwo i kierowanie statkiem, powierzając rudel tylko kiedy niekiedy Amerykaninowi, kiedy będą musieli przez chwilę odpocząć; tego ostatniego zaś, nazywającego się Rawle, używano szczególnie do urządzenia żagli i lin. De Benham i Arczy musieli się podjąć wszystkich podrzędnych robót, to jest gotowania, sprzątania i t. p. W nocy, po kolei, siedzieli po dwie godziny przy ogniach, żeby dać odpocząć palaczom, i mieli dwie godziny warty, tak że im tylko po cztery godziny zostawało na sen. Oni także musieli do glądać więźniów, co byłoby może dosyć niebezpiecznem, gdyby De Benham nie był wpadł na pomysł wyrznięcia dziury w drzwiach prowadzących na dół, i spuszczania tym sposobem pożywienia i wody majtkom tam zamkniętym. Otwór ten, o tyle tylko duży żeby wiadro mogło przejść, gdy był niepotrzebny, przykrywali paką bawełny. Z innemi, we dwóch lub trzech tylko uwięzionemi, łatwiejsza była sprawa, a co do porucznika i drugiego dowódcy ci mieli honor jedzenia pod strażą uzbrojonego człowieka, i żeby im dopomódz do lepszego trawienia, trzymano dwa nabite rewolwery nad ich głową przez cały czas który siedzieli przy stole.

Tak pracując dzień i noc, zmęczeni, nieogoleni, usmoleni prochem od węgla, tłustością i smołą, dwaj nowicyusze, z których jeden był osłabiony skutkiem utraty krwi, ciężkie mieli zadanie.

Pierwszego dnia, to jest dnia pamiętnego odzyskaniem *Ptaka Burzy*, ujrzeli kilka okrętów, prawie wszystkie od strony lądu i strzegących wybrzeży i potrafili je ominąć nie zmieniając o wiele kierunku. Gdy noc zapadła, nie szczędząc węgla, pędzili z największą szybkością na jaką dozwalał zły stan ich maszyn, i o wschodzie słońca pozostawili już Przylądek Hatteras o pietnaście mil za sobą.

Drugiego dnia, gdy wiatr wiał pomyślnie, wywiesili żagle i za ich pomocą, jakoteż pary, posuwali się z tym samym pośpiechem, i trze-

ciego dnia mogli się już uznać bezpiecznymi od pogoni statków Stanów Zjednoczonych.

De Benham ciągle wytrzymywał, pracując bez ustanku i nie chcąc ani na chwilę przyznać jak bardzo rana mu dokuczała, jednak były godziny w których nogi prawie pod nim upadały, w głowie mu się kręciło a niebo i ziemia wydawały mu się jak krew czerwonemi. Rana jego nigdy nie była dobrze opatrzoną, a pomimo osłabienia bynajmniej się nie oszczędzał.

— Jestem pewny że musisz być chory, mówił mu czasami Arczy; utraciłeś wiele krwi, wierz mi, idź się połóż i daj mi się zastąpić przez parę godzin.

Ale De Benham zaręczał zawsze że był zupełnie zdrów i silny, i że mógłby nie tylko swojej ale i Arczybalda robocie wydołać.

Trzeciego dnia po południu, wiatr zaczął się zwracać na zachód, poszarpane i w zęby powycinane chmury koloru miedzianego zaczęły przechodzić po niebieskiem tle nieba, i słońce zaszło za mgłą złotawo karmazynową.

Nazajutrz rano wiatr nagle zwrócił się na zachód i barometr zaczął szybko opadać.

W południe niebo było zupełnie pokryte chmurami, wiatr dął coraz silniejszy, i morze zaczęło się bałwanić. Kapitan Hay kazał deskami zabić wszystkie zewnętrzne otwory, jako też i dziurę we drzwiach prowadzących na dół, zwinąć żagle i silnie przymocować paki bawełny, które nie zostały wrzucone do morza podczas ścigania, i znajdowały się jeszcze na pokładzie.

Niedługo barometr opadł na 29,00.

Deszcz zaczął padać krótkotrwałemi ulewami, ptaki morskie latały, dziko krzycząc, po wierzchołkach spienionych fal, niebo coraz czarniejsze się stawało i jakby się zniżało, a koło trzeciej burza rozpuściła całą swoją grozę. Morze było jakby jedną powierzchnią wzburzonéj piany, wiatr dął i huczał jak gdyby walki olbrzymów odbywały się wśród niebios.

Dwom nowicyuszom zdawało się, że niebo i ziemia się już połączą; oślepieni słoną wodą, ogłuszeni rykiem rozhukanych żywiołów, zdawało im się że już życia nie ocalą, czepiali się wszystkich otaczających przedmiotów, i spodziewali się co chwila że będą uniesieni przez wiatr.

— Posłać Wilsona na pokład a Blyntha na dół, i kazać Dawisowi zwolnić ruch maszyn, krzyknął kapitan przez trąbę.

Trzymał się on z jednéj strony szafki z busolą, a De Benham z drugiej, i tylko kilka kroków ich oddzielało, jednak nadzorca ładunku zaledwie usłyszał te słowa jakby z daleka wypowiedziane. Wilson był jednym z palaczy.

De Benham pełzając na rękach i kolanach, dostał się na drugą stronę okrętu.

— Pójdź na dół do maszyny, niech Wilson rzyjdzie na pokład, a Dawis niech zwolni ruch maszyny, zawołał, powtarzając rozkazy kapitana.

W téj chwili, okropna nawałnica napadła na nich od strony północno-zachodniej, z szumem przeraźliwym, przed którym zamilkły inne głosy; bałwany zatrzymane w swym pędzie przez tę nagłą zmianę, uderzyły o Ptaka Burzy i okryły jego pokład z hukiem zdających się zapowiadać, że Alpejska góra na nich się zapadła. Statek przechylił się, okrzyk trwogi wyszedł z ust wszystkich, Arczy i De Benham znaleźli się leżąc razem w rynsztokach otaczających okręt, przemoczeni, odurzeni i mogący zaledwie oddychać.

Myśleli, że ta olbrzymia fala porwie ich z sobą, i powstali trzymając się jeden drugiego, dziwiąc się że jeszcze żyli i lękając się że oprócz siebie nikogo już nie ujrzą na pomoście. Ale, dzięki Bogu! postrzegli kapitana Hay trzymającego się poręczy statku, i Poltera razem z Amerykaninem przy rudlu; ale wielki otwór tkwił w poręczy w miejscu gdzie bałwany uderzyły, i wszystkie paki bawełny, tak troskliwie przymocowane, były sprzątnięte.

Trzymając Arczybalda obydwoma rękami za szyję, De Benham przyłożył usta do ucha przyjaciela i drugi raz głosem donośnym powtórzył słowa kapitana.

Arczy usłyszał je i zeszedł czołgając się, ale zastał ognisko syczące jak olbrzymi wąż konający w śmiertelnych mękach, i powietrze napełnione dymem i parą.

W czasie tego jeńcy będący w więzieniu zostawali w śmiertelnéj trwodze, napróżno usiłując uwolnić się.

De Benham myślał jednak o tych biedakach, postanowiwszy, gdyby okręt miał zatonąć, uwolnić ich, aby uratowali swe życie—w tym celu nawet blizko pozostawił topór, aby go w danéj chwili mógł użyć.

Znów Ptak Burzy zachwiał się i przechylił, znów fala ogromna go okryła. Widząc tę olbrzymią, czarną, głęboką przepaść, każdy zamknął oczy, chwytał się najbliższego przedmiotu, i oczekiwał rychłej śmierci; nareszcie fala pękła, okryła ich i przeszła, porywając dach od kuchni i łamiąc przedni maszt jak trzcinę, lecz miłosiernie oszczędzając pięć ludzkich istot, znajdujących się na pokładzie.

Okręt wykręcił się teraz na miejscu i leżał na poprzek bałwanów, kiedy Dawis czołgając się wyszedł na pokład i oświadczył, że ogień został ugaszony, maszyny stanęły i było trzy i pół stóp wody w ich komórce.

Jedna im tylko pozostawała nadzieja ocalenia od rozbicia, to jest podnieść okręt za pomocą wiatru i żagli wywieszonych w tyle statku. Kapitan zawołał:

— Wszyscy od tyłu! Sam pobiegł do tylnego masztu, wlazł na niego jak kot i z pomocą Poltera zarzucił grubą linę na około zwiniętego już zagla, lecz tylko do połowy; od dołu zaś rozpięto go w kąt prosty, żeby go wiatr mógł nadymać. Okręt się po trochu podniósł, poddając się kierunkowi rudla, i wszystkich posłano na dół do pomp.

Wtedy właśnie, jak ognisty miecz anioła zniszczenia, pierwsza błyskawica rozdarła ciemności, ale zaledwie usłyszano huk grzmotów wśród szumu wiatru i bałwanów. Przez dwadzieścia minut, które wszystkim obecnym zdawały się dwiema godzinami, grzmoty i pioruny nie ustawały, potem wiatr już powrócił do dawnego kierunku, wraz z deszczem, którego grube krople uderzały o pokład jak drobny śrót; ciemna zasłona okrywająca niebo przerzedziła się, barometr zaczął się podnosić, blado-żółte światło oświeciło brzegi widnokręgu, i w porównaniu z tem czem była wśród największej swe wściekłości, można było powiedzieć że burza już się uspakajała. Deszcz lał tylko potokiem.

Ptak burzy w niebezpiecznem znajdował się położeniu; maszyny stanęły, jedna szruba była zupełnie nie zdatną, przedni maszt został złamany, dwie trzecie szczupłej załogi zajęte były przy pompach i nikogo nie było żeby maszyny urządzić i ogień pod niemi rozniecić.

Kapitan Hay przypomniał sobie wtedy kucharza i drugiego majtka z nim zamkniętego.

Poszedł do nich i zastał ich leżących w wodzie jeden obok drugiego, wśród najgłębszej ciemności.

— Słuchajcie moi ludzie, powiedział; mieliśmy okropną burzę i brak nam rąk. Czy chcecie nam dopomódz do doprowadzenia okrętu aż do wyspy Fayal, czy też wolicie tu siedzieć, nic nie robiąc, jeszcze przez dziesięć lub dwanaście dni?

— Jużto, kapitanie, wolelibyśmy wyjść, odpowiedział z pośpiechem kucharz.

Cztery dni więzienia bez światła i powietrza a na końcu dwie godziny ciągłego rozbijania się, aż nadto wystarczyły do skruszenia ich pychy. Byliby woleli z samym książęciem ciemności się pobratać, jak dłużej tam pozostać.

— Musicie mi naprzód dać słowo honoru, że nie będziecie próbować wyzwolić waszych towarzyszy, powiedział kapitan, bo bądźcie pewni, że będę wolał zatopić ten statek ze wszystkiemi, niż go drugi raz oddać w inne ręce.

Obiecali najchętniej, pragnąc tylko wolności i świeżego powietrza, za jaką bądź cenę. Dał więc każdemu po szklance grogu którego od tygodnia nie kosztowali, osadził go przy pompach, i posłał Dawisa i Wilsona do maszyn.

Nad wieczorem burza ucichła; wiatr jeszcze jęczał i kołysał statkiem, ale nie nastawał już jak się wprzódy zdawało, na jego życie; deszcz padał z przestankami i morze tylko burzyło się ciągle, piętrząc swe bałwany i groźnie rycząc.

Słońce zaszło pod ciemnym łukiem, oświecając chmury karmazynowym blaskiem i ciskając płomień ognisty na szczyt każdej fali, i noc nastała.

Za pomocą pomp wyrzucono już wszystkę wodę, ognie się paliły pod maszynami, które za chwilę miano w ruch puścić, i zapasowy maszt został wzniesiony na miejscu przedniego masztu porwanego burzą.

Odmawiając sobie chwili spoczynku, kapitan Hay posłał Poltera żeby paru godzin snu użył, a sam obszedł więźniów, urządził straż nocną, obejrzał cały okręt i szkody jakie burza zrządziła, czuwając aby wszystko na noc było spokojnie.

— Możesz stanąć na warcie na przodzie, panie De Benham i mieć oko nad więźniami, powiedział, gdy to wszystko ukończył; to jest jeżeli możesz jeszcze dwie godziny dłużej wytrzymać.

— Mogę wszystkiego dopełnić, kapitanie, co mi rozkażesz, odrzekł De Benham.

Poszedł do swojej kajuty, uzbroił się w rewolwer i kordelas, wypił pół kieliszka czystej wódki i pospieszył na pokład.

Ale zanadto ufał wycieńczonym już siłom. Dotąd gorączka w której żył utrzymywała go, ale od szesnastu godzin był na nogach, ciężko pracował przed burzą jeszcze, a gdy minęła, pomagał do rozniecenia ognia pod maszynami, przygotowywał kolacyę dla ludzi, jednem słowem pracował za trzech; ale teraz już mu zupełnie sił nie starczyło. Zaledwie kilka razy się przeszedł po pokładzie, kiedy uczuł jak mu się słabo robiło, zdawało mu się że cały okręt się kręci, że pokład usuwa się pod jego nogami, i zdało nie probując nawet się zatrzymać; tak leżał dopóki Arczy przechodząc, nie uderzył o niego, zawołał pomocy i zaniósł go do jego kajuty. Tam położyli go na łóżko, ocucili za pomocą zimnej wody i zostawili pogrążonego w gorączkowym śnie, który trwał do rana.

(*D. c. n.*)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 (31) Октября 1875 г.